

ZŁY

PRZEBUDZENIE

Kalabria #3



HELENA LEBLANC

ZŁY

PRZEBUDZENIE

Kalabria #3



Litera Inventa

Copyright ©2024 by Helena Leblanc
Copyright ©2024 by Litera Inventa
Wydanie pierwsze, 2024

Redakcja: *Agata Bogusławska*
Pierwsza korekta: *Joanna Krystyna Radosz*
Druga korekta: *Renata Nowak*
Skład i łamanie: *Michał Bogdański*
Projekt okładki: *Agnieszka Makowska*
Źródło obrazu: *pixabay.com (lassaffa)*
Druk i oprawa: Drukarnia Sowa
ISBN: 978-83-67355-14-8

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej fragmenty nie mogą być przedrukowywane ani w żaden inny sposób reprodukowane lub odczytywane w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autora lub wydawcy.

© All rights reserved
studio_litera.inventa@outlook.com

Prolog

Koniec listopada 2020

Oto jak kończą złoczyńcy...

Ja, Domenico Buscetta – niegdyś boss najpotężniejszej kalabryjskiej mafii, 'Ndrànghety, pan życia i śmierci znany jako *Il Male*, Zły, Diabeł z Kalabrii, potem nawrócony grzesznik, który cudem uniknął najwyższej kary za złe uczynki, znalazł miłość swojego życia, założył rodzinę i żył w innym kraju pod innym nazwiskiem jako uczciwy rolnik, kochający mąż i ojciec – teraz mam wrócić do Włoch w kajdanach, wystawiony na licytację jak wielu ludzi, którzy trafili w takie miejsca z mojej winy.

Ależ ironia losu... A może jednak nieunikniona kolej rzeczy? Niewidzialna ręka sprawiedliwości? Bzdury!

Ludzie, których moja organizacja kiedyś pozbawiła wolności i sprzedała do robót przymusowych, na farmy, do burdeli albo prywatnych kolekcjonerów... oni wszyscy teraz w pewien sposób odzyskują sprawiedliwość, bo dopadła mnie ich podła karma.

Czas odpowiedzieć za swoje przewiny, Domenico...

A jednak, gdybym miał wybrać, jak chciałbym przeżyć swoje życie, gdybym mógł je zacząć od początku, czy tak wiele bym w nim zmienił? Nie! Moje życie to było moje życie. Miałem wspaniałych rodziców, babcię, dziadka, przyjaciół i ukochaną kobietę, w której zakochałbym się i sto razy, gdybyśmy tyle razy musieli się rozstawać i znowu spotykać. Ja po prostu nie mógłbym inaczej.

Nigdy nie czułem, żebym przez Igę coś stracił, a przecież tak się stało. Byłem bossem, a zostałem zdrajcą, byłem bogaty, potężny, wpływowy, groźny, wszyscy się ze mną liczyli... a zostałem wyrzutkiem – ukrywającym się, uciekającym, zagrożonym. I tak nie żałuję ani jednej

chwili spędzonej z moją ukochaną, z moją rodziną. Dla mnie najważniejsze jest teraz, że moja żona i dzieci są bezpieczni. Za nich oddałbym wszystko. Życie nie jest najwyższą ceną.

Tak... dzieci. Powoli przyzwyczajam się do myśli, że zostanę ojcem po raz drugi. Normalnie skakałbym z radości, ale to nie pora ani miejsce na takie okazywanie szczęścia.

Może będę miał syna? Albo drugą córeczkę, cudowną jak Aga?

Ale być może też nigdy nie zobaczę już swojej rodziny. To nawet jest bardziej prawdopodobne. Wiem, co ma się ze mną stać.

Iga pewnie nie będzie zachwycona. Wyglądała na zaskoczoną tą ciążą, próbowała ją przede mną ukryć. No i nie sądziła, że oddam się za nią Piotrowi Królowi.

To zabawne, że nawet w takiej chwili, kiedy leżę skutym w jakimś „lochu”, myśl o niej i o tym, że będzie się na mnie złościć, dodaje mi otuchy.

Jestem totalnie popieprzony. Boże, tak bardzo bym chciał, żeby ona się jeszcze kiedyś na mnie wkurzyła...

Chcę poczuć jej pięści na moich żebrach, paznokcie na kłacie, marzę, żeby usłyszeć jej krzyk... No, może bardziej wolałbym słyszeć INNY krzyk, ale i tym pełnym złości bym nie pogardził.

– Wstawaj, Buscetta! – Słyszę głos i orientuję się, że już jest rano. – Zbieramy się. Wracasz do Włoch.

Też mi radość...

Rozdział I

Porca miseria!

Dominik

Oława, koniec listopada 2020

Porca miseria! – To jedyne, co przyszło mi do głowy w tym momencie, choć oczywiście nie wypowiedziałem tego na głos.

To popularne włoskie przekleństwo, które w bardzo wolnym tłumaczeniu oznacza coś w rodzaju „świńskiej biedy”, najlepiej oddawało moje emocje w tej sytuacji. Irytująca bezsilność połączona z ulgą wynikającą z faktu, że przynajmniej moja rodzina będzie bezpieczna dzięki dealowi, jaki zrobiłem z panem K.

Ale, do cholery, więcej ich nie zobaczę!

Nie zamierzałem jednak dać nikomu satysfakcji. Nikt nie mógł zobaczyć po mnie strachu, żalu ani żadnej innej słabości. Byłem Złym i tak chciałem zostać zapamiętany przez tych, którzy zobaczą mnie we Włoszech jako ostatni.

W magazynie pana K. spędziłem dwa, może trzy dni. Byłem zamknięty w pomieszczeniu bez dostępu do światła dziennego, więc mogłem to stwierdzić jedynie po odgłosach pracowników z wymieniających się zmian, których zagłuszały maszyny pracujące non stop od poniedziałku.

Zamknięty w zakładach mięsnych... Ostatecznie dobrze, że nie w puszcze z konserwą – pomyślałem z czarnym humorem.

Nie poprawiło mi to jednak nastroju. Cały czas byłem związany i nie miałem zbyt wielu możliwości zmiany pozycji. Od czasu do czasu przychodził ochroniarz, który dawał mi odrobinę wody. Raz zaprowadził mnie do toalety, bo zlałbym się w tym magazynie. Byłem obolały,

głodny i słaby. Nawet gdyby mnie teraz rozwiązali, to nie wiem, czy kogokolwiek bym pokonał w walce wręcz.

Ochroniarz, który po mnie przyszedł, był ubrany zupełnie tak samo jak ten, którego zastrzeliłem, kiedy przybiegłem odbić Igę. Paker, cały na czarno. Zaraz za nim do magazynku wszedł gościu w białym garniturze.

Król!

Mimowolnie zacisnąłem dłońe w pięści na wspomnienie, jak ten drań przykładał gnata do głowy mojej żony. Spryciarz, zorganizował sobie swoje niepodzielne nomen omen królestwo na Dolnym Śląsku.

Jak mogłem pozwolić, żeby ktoś taki urósł w siłę na moim terenie? Stałem się aż tak słaby? Zaślepiły mnie miłość, szczęście, poczucie bezpieczeństwa? Przecież, gdybym chciał, zorganizowałbym sobie tutaj takie zaplecze, że Król mógłby zapomnieć o jakiegokolwiek działalności poza zakładami mięsnymi.

Ale Iga tego nie chciała...

No właśnie. Iga. Zawsze najważniejsze było to, czego ona chciała. Jej uczciwość i poczucie sprawiedliwości wygrały. I jak na tym wyszliśmy?

Przecież ją kochasz, idioto! Zrobiłbyś wszystko, żeby była szczęśliwa! I żeby chciała cię kochać...

Gadałem sam ze sobą. Musiało być ze mną już naprawdę źle.

– Wstawaj, Buscetta! – powtórzył Król.

– Jak mam, kurwa, wstać? – spytałem poirytowany. – Zwiążaliście mnie jak jakiś pieprzony baleron!

– Nie masz pojęcia, jak się wiąże baleron, ignorancie! – warknął pan K. – I wolałbyś, żebym nie demonstrował tego na tobie. A poza tym baleronu się nie pieprzy, tylko się go pekluje.

Ja pierdołę! Rozmawiam z idiotą! Albo z facetem niespełna rozumu...

– Słyszałeś o czymś takim jak metafora? Ach, nie, przecież w szkole gastronomicznej nie uczą o takich niepotrzebnych rzeczach!

– Czy ty próbujesz mnie obrażać, Buscetta?

– Spierdalaj, Król! Masz się za nie wiadomo kogo, a taki z ciebie mafiozo jak z koziej dupy trąba – prychnąłem. – Niby praktykowałeś

we Włoszech, a niczego się o nas nie nauczyłeś. Zarządzałem taką organizacją, że mógłbyś u mnie najwyżej śmieci wynosić – dodałem, żeby bardziej go wkurzyć.

Wiedziałem, że mi się za to oberwie, ale chciałem go sprowokować, żeby poznać jego słabe punkty. Piotr Król może i był sprytny, ale wiedzy psychologicznej ewidentnie mu brakowało.

Nie pomyliłem się. Biały garnitur podbiegł do mnie i wymierzył mi kopniaka w zębra. Zdusiłem jęk bólu.

– Wiesz, że z każdym złamanym żebrem moja cena na aukcji spadnie? Są tacy, którzy chcieliby mnie mieć w jednym kawałku i połamać mi te zębra osobiście – poinformowałem go, siląc się na humor.

– Szefie... – Usłyszałem głos ochroniarza.

– Zamknij się!

– Szefie! – dopominał się tamten.

Zrozumiałem, co chciał mu powiedzieć. Król stał tak blisko mnie, że nawet związany mogłem go podkosić i przewrócić na podłogę.

Będzie mnie to kosztowało może jeszcze jedno złamane zebro, ale warto – pomyślałem i wygiąłem ciało w łuk, podwinąwszy związane nogi tak, żeby zahaczyć o jego stopy.

Udało się. Po chwili pan K. leżał na podłodze magazynku, jęcząc głucho.

Musiał niezłe rąbnąć. A ten biały garnitur na pewno będzie do wyrzucenia – pomyślałem z satysfakcją.

Oczywiście ochroniarz podbiegł natychmiast i pomógł swojemu szefowi wstać, a mnie skopał tak, że zaraz zwątpiłem w zasadność tego małego pokazu sprytu.

Nie wychylaj się, Domenico. Musisz oszczędzać siły, dopóki się nie upewnisz, że z twoją rodziną wszystko w porządku.

Po cichu liczyłem, że jeszcze zobaczę Krystiana, zanim wywiozą mnie do Włoch, i dowiem się, gdzie jest Iga i moja córka, ale tak się nie stało.

Wójcik, jeśli coś im się stanie, to będę cię ścigał choćby z zaświatów.

– Dość tego! – Usłyszałem wkurzony głos pana K., który próbował otrzepać się z pyłu.

W przypadku białego garnituru to było bezcelowe. Być może dlatego ja zawsze nosiłem czarne.

Ale idiotów nie sieją. Sami się rodzą...

– Zabieraj go, Wiesiek – warknął Król, wskazując na mnie.

– Jasne, szefie.

Ochroniarz szarpnął tak, że poderwał mnie z podłogi i postawił do pionu. Skubany, musiał mieć dużo siły, bo nie byłem przecież chucherkiem. Potem gigant zarzucił mnie sobie na ramię, a ja zrozumiałem, że miałbym marne szanse, żeby stąd uciec. Wtedy dowiedziałem się, że jest już późny wieczór. Wtorkowy.

A więc spędziłem tutaj trzy doby.

Ochroniarz zaniósł mnie do łazienki, kazał wziąć prysznic i przebrać się w czyste ciuchy.

– Nie mam ochoty cię wachać przez najbliższe kilkanaście godzin – burknął.

– Może byś wyszedł? – zasugerowałem, kiedy stał w tej łazience i się na mnie gapił.

– Muszę cię pilnować.

– A, ty z tych, co lubią sobie popatrzeć? – zakpiłem, wzbudzając tym jego wściekłość.

– Ty... Gdyby tylko szef pozwolił mi porządnie ci wlać!

– Niestety, jestem dla ciebie zbyt cenny. – Wysiliłem się na złośliwy uśmiech.

Ostatecznie, z ochroniarzem czy bez, prysznic okazał się zbawienny dla moich obolałych i zastałych mięśni. Dali mi jakiś firmowy dres. Wyglądało to komicznie, ale nie miałem wyboru. Moje ubrania niemiłosiernie cuchnęły. Wciąż byłem osłabiony z głodu, ale i tak poczułem się o wiele lepiej. Nadal nie widziałem jednak żadnego wyjścia z sytuacji.

Byłem ciekaw, jak zamierzali mnie przewieźć do Włoch, ale nie doceniłem kreatywności Piotra Króla.

Tommaso

Neapol, koniec listopada 2020

Przeglądałem właśnie darknet w poszukiwaniu kontrahentów dla naszej nowej dostawy dziewczynek z imigranckich łodzi do tureckich burdeli, bo poprzedni nam się wysypali. Ostatnio było już ich tak dużo, że wypadali drzwiami i oknami. Ci, którzy przybijali na łodziach do brzegów Italii, byli jednak dla Turków za drodzy. Dla naszego starannie wyselekcjonowanego towaru musiałem poszukać kupców w Europie. Zacząłem się zastanawiać nad Rosją lub innymi krajami słowiańskimi, bo to duży rynek, a śniade, czarnookie sarenki byłyby tam ciekawym, egzotycznym dodatkiem.

Wtedy zauważyłem nietypowe ogłoszenie.

Nie wierzę! No, kurwa, nie wierzę! Przecież ten chuj nie żyje!

Walnąłem dłonią w blat biurka tak mocno, że aż mój pancerny laptop podskoczył.

– *Porca miseria!* – wrzasnąłem odruchowo, łapiąc się drugą dłonią za tę bolącą.

– Tommaso? Czemu się tak drzesz, synu? – Usłyszałem karcący głos ojca przez uchylone drzwi do pokoju. – Moje wnuki już śpią, pobudzisz je.

Wnuki... Prychnąłem pod nosem. *Raczej rozwydrzone bachory mojej siostry.*

Nie, nie byłem kochającym wujkiem. Nienawidziłem mojej siostry za to, że wyszła za jakiegoś półgłówka i dała sobie zrobić dwójkę dzieci. Była kiedyś taka piękna! A teraz tyłek jej urósł, na brzuchu zwisała fałdka, a ona sama wyglądała na wiecznie zmęczoną kurę domową... A ten mąż zupełnie jej nie szanował, chociaż powinien. W końcu była córką...

– No, to o co tyle krzyku? – dopytywał mój ojciec.

– Uderzyłem za mocno dłonią w biurko. Nic takiego, tato.

– Ale dlaczego?

– Nie uwierzysz, co znalazłem – odpowiedziałem mu w końcu. – Podejdź tu, proszę. – Obróciłem się na krześle w kierunku drzwi i zachęciłem go gestem, żeby wszedł.

Mój ojciec był już stary. Nie dojrzały, nie wiekowy, po prostu stary. Nie tylko jego ciało odmawiało współpracy. Zmysły miał przytępione, a i pamięć czasem go zawodziła. Jednej rzeczy jednak Bozia mu nie poskąpiła: zdolności kojarzenia faktów i zmysłu do interesów. Obie te rzeczy odziedziczyłem po nim.

– Spójrz. – Wskazałem na ekran laptopa.

Musiał podejść bardzo blisko, żeby cokolwiek zobaczyć, ale i tak nie dał rady.

– Nie przeczytam tego bez okularów, ty czytaj.

– Proszę bardzo. Słuchaj, tato. „Licytacja. Na sprzedaż były don kalabryjskiej ‘Ndrànghety, zbiegły zdrajca, Domenico Buscetta. Cena wywoławcza: sto milionów euro. Oferty proszę składać za pośrednictwem platformy e-commerce Bon-Ita”. I link do aukcji.

– Myślisz, że to prawda?

– A sądzisz, że ktoś ośmieliłby się wystawić fałszywkę?

– Jeśli tak, to musimy go mieć – zdecydował mój ojciec. – Ten chuj zapłaci mi za to, jak wykiwał nas jego dziadek.

W takich sytuacjach widziałem w moim ojcu starego dona, którego znałem jako dziecko, z którego byłem kiedyś taki dumny. I choć zastanawiałem się, kiedy ustąpi, żebym mógł przejąć jego stanowisko, i czy nie odda go temu idiocie, mojemu szwagrowi, nadal zdarzało mi się go podziwiać.

– To właśnie chciałem usłyszeć, tato. Zajmę się tym – obiecałem.

– Świetnie, synu. – Ojciec poklepał mnie po ramieniu z dumą.

Urosłem.

Tak, to ja jestem Tommaso Trozzi, don Tommaso IN SPE, przysły boss potężnej neapolitańskiej Camorry. Mój ojciec, don Michele, jest ze mnie dumny.

To będzie czysta formalność.

Wstawiłem ofertę w imieniu Camorry, oczywiście nie identyfikując nas jednoznacznie, ale każdy, kto orientował się w naszym środowisku, mógł być pewien, od kogo pochodziła. Podwoiłem cenę wywoławczą, żeby byle kto nie sprzątnął nam sprzed nosa takiego towaru.

*Domenico Buscetta upozorował własną śmierć i spierdolił z Włoch...
Kto by pomyślał?*

Następnego dnia od rana nic jednak nie układało się tak, jak trzeba. Ktoś zaczął węszyć w naszych interesach.

Kapitan Matteo Pontichiari...

Przyjrzałem się profilowi gliniarza stworzonemu przez moich ludzi. Normalnie wzór cnót.

Że też mu medalu jeszcze nie dali. Ale dostanie medal pośmiertnie, bo nie pożyje długo pan kapitan...

Wieczorem byłem akurat na wizytacji w moim klubie Panta Rhei przy Via Nazario Sauro dwadzieścia jeden, kiedy prawie wpadli na mnie moi ludzie, żeby poskarżyć się w tej samej sprawie.

– Zlikwidujcie mi tego ciekawskiego glinę! – warknąłem na tych idiotów, którzy przyszli do mnie przestraszeni, bo „jakiś kapitan policji depcze im po piętach”.

Do cholery! Od czego mają broń?

Przecież wiadomo było, że policjanci na południu Włoch giną częściej niż na północy, i nikt się tym jakoś szczególnie nie przejmował.

– To nie takie proste go zlikwidować, szefie – zaprotestował młody Vito.

– Trudne też nie. Mam wam pokazać, jak to się robi? – spytałem, wyciągając broń, wkurzony, że odrywają mnie od wybierania sobie dziwki na dzisiejszy wieczór.

– Nie, niech szef nam nie pokazuje. – Młody nagle zbladł. – Poradzimy sobie jakoś.

– Ja myślę – odburknąłem i odwróciłem się do nich tyłem, żeby pokazać, że z mojej strony rozmowa skończona.

Pewnie zrozumieli, bo żaden już nic nie powiedział.

Byłem w swoim klubie panem na włosciach. Zaraz miałem wrócić do domu, żeby trochę popracować, ale wcześniej chciałem się zabawić. Musiałem spuścić z krzyża, bo adrenalina strasznie podbijała mi libido.

Jedno dobre obciążanie i człowiek zupełnie inaczej funkcjonuje – uznałem i kazałem kierownicze klubu przyprowadzić mi jakąś nową.

Margarita pracowała dla naszej rodziny tak długo, że znała chyba jeszcze mojego dziadka. Trudno było stwierdzić, ile lat miała ta stara stręczycielka, bo nie dało się rozpoznać jej wieku. Figura zawsze taka sama. Skóra naciągnięta przez liczne operacje plastyczne. A włosy farbowała na wściekłą czerwień, aż się miało wrażenie, że zaczną parzyć, jeśli człowiek ich dotknie. Była jednak bardzo dobra w swoim zawodzie, skoro utrzymała się tutaj tyle lat.

– Margarita, przynieś mi margaritę z baru – zażartowałem. – I jakąś młodą margaretkę do zerwania – dodałem z przymrużeniem oka.

– Taką jak zawsze? – spytała tylko.

– Niekoniecznie. Zaskocz mnie – odparłem.

Wiedziałem, że niedawno przybył do nas nowy towar z ostatniej dostawy i byłem ciekaw, jakie kwiatuszki kwitły teraz w moim luksusowym burdelu. Trochę się naczekałem. Co prawda kelnerka zaraz przyniosła drinka do mojej prywatnej łoży, ale Margarity z dziewczyną jak nie było widać, tak nie było.

Nagle przyszła inna, jej pomocnica Tasha, Rosjanka, która pracowała dla nas od wielu lat.

– Margarita kazała mi przyprowadzić panu jakąś nową, panie Trozzi – powiedziała, pchając przed sobą przestraszoną dziewczynę.

Jezu, kto ją tu zatrudnił? Przecież to stworzenie chyba nie ma jeszcze osiemnastu lat, a ja burdelu dla pedofili nie prowadzę! – wkurzyłem się.

– Co to jest? Ile ona ma lat? – spytałem wkurwiony.

– Jest pełnoletnia – zapewniła Tasha i wyduła usta. – Może być, czy chce szef kogoś innego?

– Zostaw ją na razie, zobaczymy. Niech nikt mi nie przeszkadza – warknąłem i pociągnąłem dziewczynę za sobą do jednego z prywatnych pokoi, do strefy nie dla klientów.

Giacomo

Rzym, dwa tygodnie wcześniej, listopad 2020

– *Porca miseria!* Co za cholerny rok! – przekląłem, orientując się, że niedługo podły dwa tysiące dwudziesty się skończy, a z nim wcale nie odejdzie to całe zło, które przyniósł.

Tego lata chciałem się wybrać do mojego starego przyjaciela, żeby porozmawiać z nim o najważniejszych dla mnie sprawach, ale przez tego paskudnego wirusa zabroniono nam podróżować „bez poważnej przyczyny”. Nas, sześćdziesięciolatków, facetów w średnim wieku, potraktowano jak osiemdziesięcio- czy dziewięćdziesięcioletnich, niedołączonych starców.

– Co się dzieje, szefie? – spytał mój *consigliere*¹, Raffaele Santi.

Naprawdę się tak nazywał. Jak ten renesansowy malarz².

– Głośno wyrażam frustrację, mój drogi Raffaele.

– Don Giacomo, jeśli mogę w czymś pomóc... – zaczął.

– Mógłbyś. Zabierz mnie do Kalabрії – poprosiłem.

– Szef tak poważnie? – Santi zbladł. – Przecież druga fala...

– Mam to w dupie! Po jaką cholerę rządzić tym przeklętym miastem, jak nie można z niego wyjechać? Czasem nie dziwię się Neronowi, że miał dość i puścił tego molocha z dymem. Przynajmniej sobie pośpiewał – odburknąłem, na co mój *consigliere*, człowiek stateczny, wykształcony i na poziomie, parsknął śmiechem.

– Szef to ma porównania. – Spowaźniał, ale jego oczy nadal się śmiały. – Co pan chce robić w Kalabрії, don Giacomo?

– Przyjaciela bym odwiedził.

– W tej branży przyjaźń to cenny towar – zauważył Santi.

1 wł. doradca.

2 Rafael, właściwie Raffaello Santi, był jednym z trzech wielkich włoskich artystów wczesnego renesansu (obok Michała Anioła i Leonardo da Vinci).

– Mówisz, jakbym nie wiedział. A najlepsze jest to, że znamy się od dziecka i myślałem, że wiem o nim wszystko, a on i tak mnie zaskoczył. I to dwa razy. – Westchnąłem.

– Jak to?

– Był w zeszłym roku w Rzymie, leczył się na nowotwór w jednej z naszych najlepszych klinik, a ja dowiedziałem się o tym, dopiero jak już wyjechał do siebie.

– To znaczy, że się wyleczył?

– Całe szczęście. Brakowałoby mi drania, gdyby mu się nie udało.

– Czy on wie, kim szef jest? – spytał ostrożnie Raffaele.

– Ha, ha, ha – roześmiałem się. – I to od dziecka.

– I szef mu ufa?

– Tak jak on mnie.

– Dobra, gdzie mam umawiać kierowcę? Czy może szef woli, żebym sam go zawiózł? – spytał w końcu Raffaele, poddając się.

– Muszę najpierw do niego zadzwonić – odpowiedziałem spokojnie. – Powiedz tylko Gigiemu, żeby szykował się na jutro na dłuższą trasę, i wybierz dwóch chłopaków do ochrony. Tylko żeby byli kumaci, zrozumiano?

– Tylko dwóch? Do Kalabrii?

– Dwóch, powiedziałem. *Capisci*³?

– *Capito, signore Allegretti*. – Usłyszałem w odpowiedzi.

Mój zaufany człowiek, moja prawa ręka od trzydziestu lat. Ufałem mu tak, jak ufałbym bratu, gdybym go miał. A może i bardziej. A jednak nawet on nie mógł nic poradzić na gnębiący mnie od lat problem. Nie miałem następcy. Nie, bo nie umiałem się przekonać do ożenku. Ba, w ogóle miałem problem, żeby zbliżyć się do jakiegokolwiek kobiety. Właściwie nie mogłem dotykać żadnego człowieka z wyjątkiem Luciana, z którym w dzieciństwie bawiłem się w błocie i po którym nosiłem ubrania. On mnie rozumiał, akceptował, był moim pierwszym

3 wł. Zrozumiałeś?

i jedynym przyjacielem. Inni wiedzieli, ale nie akceptowali. Taka była różnica.

Raffaele podał mi zdezynfekowany telefon i wyszedł. Miałem już dość tego smrodu środków odkażających, ale co poradzić? Wybrałem numer, który wyświetlił mi się w zeszłym roku, kiedy mój stary druh dzwonił do mnie (z Rzymu, jak się okazało) w sprawie swojego domniemanego siostrzeńca, który okazał się bardzo młodym bratem jego *consigliere*, przyszyłym lekarzem.

Paolo mu było chyba. Odważny chłopak. I taki prawy...

Pojawił się sygnał połączenia.

– *Pronto?* – Głos Luciana Buscetty powodował, że uśmiech sam cisnął mi się na usta.

– *Ciao, Luciano* – przywitałem się i usłyszałem, że rozmówca też się uśmiecha.

– Przystaniesz co chwilę zmieniać numer telefonu, stary paranoiku? – Mój przyjaciel zachichotał.

– Wiesz, że nie – odpowiedziałem poważnie.

– Co cię sprowadza? – spytał Luciano.

– Właśnie... chciałbym się sprowadzić do ciebie na jakiś czas. Co powiesz na odwiedzinę jutro?

– Przyjeżdżaj. Już po sezonie pomidorowym i trochę mi się nudzi samemu.

– To będę. Przywiozę tylko kierowcę i dwóch chłopaków. Niech twoi ludzie nie wezmą nas za króliki po drodze. – Zaśmiałem się, wiedząc, że mój przyjaciel doskonale zinterpretuje tę grę słów. Przez telefon lepiej było nie mówić o strzelaniu.

– Powiadomię ich. Do zobaczenia. – Luciano się rozłączył.

Siedem godzin drogi. Rozważałem, o której wyjechać, i doszedłem do wniosku, że im szybciej, tym lepiej.

Podróż samolotem odpadała. Miałem co prawda prywatną flotę powietrzną, ale latanie do Bruzzese było niemożliwe, bo w pobliżu brakowało lotniska.

Wybrałem numer Raffaele.

– Tak, szefie?

– Szykuj auto na czwartą, ominiemy poranne korki – poinstruowałem go.

– Tak jest. O której pana obudzić?

– Sam wstanę. – Zaśmiałem się z głupoty mojego człowieka.

Ludzie myślą, że jak ktoś skończy sześćdziesiąt lat, to już jest stary...

Wieczorem spakowałem swoje wyprane i wyprasowane ubrania prosto z szafy do hermetycznie zamykanej walizki, a potem sam stuknąłem się w głowę.

Przecież na wieś jedziesz, głupi dziadu!

Zaśmiałem się pod nosem.

Ciężko jednak zmienić zwyczaje, którym hołdowało się przez ostatnie kilkadziesiąt lat. No i wiedziałem, że Luciano zrozumie.

Budzik obudził mnie o trzeciej. Mimo że poprzedniego dnia położyłem się wcześniej, poczułem, jak to jest mieć sześćdziesiątkę.

Porca miseria! Starość nie radość, młodość nie wieczność, Allegretti...

Prychnąłem, ledwo zwlekając się z łóżka.

Wtedy doszedłem do wniosku, że wypadałoby jednak poszukać następcy, któremu z czystym sumieniem będę mógł oddać władzę nad organizacją. Kogoś godnego zaufania... Raffaele by się nie sprawdził, był prawnikiem, zresztą kiepsko dobierał sobie współpracowników, jak pokazała sytuacja z tym kretynem, który znęcał się nad żoną. Nie było nikogo, kto by się do tego nadawał. Wiedziałem, że mój druh miał ten sam problem, bo parę lat temu stracił jedyne go syna. Za to jego młody *consigliere* miał brata w Rzymie... Postanowiłem z nim o tym porozmawiać.

Godzinę później, wykąpany, ubrany, po śniadaniu i pierwszej kawie, wyjeżdżałem z moimi ludźmi z Rzymu. Samochód był nowy, jeszcze nieużywany w mieście, żeby zbyt wielu amatorów nocnego życia w stolicy nie stało się przypadkowymi świadkami mojego wyjazdu. Wieść niesła, że Giacomo Allegretti nigdy nie opuszczał Rzymu. I tak miało w ogólnej świadomości pozostać.

Po drodze nie czekały nas żadne niespodzianki, bo nie zatrzymaliśmy się na przerwy. Ja i tak nie korzystałem z publicznych toalet, a to nie była taka długa podróż, żeby wynajmować bezpieczny pokój w sprawdzonym hotelu tylko po to, aby się wysikać. Przed jedenastą byliśmy więc na miejscu, nie niepokojeni po drodze przez nikogo, ale eskortowani przez ludzi Luciana do samej farmy w Bruzzese. Wjechali nawet za nami na podwórko.

Przed budynek wyszedł mój przyjaciel.

Jestem w domu – pomyślałem.

Luigi

Arfuso, listopad 2020

– *Porca miseria!* – Usłyszałem wrzask mojej żony Rosy.

Miałem wrażenie, że z wiekiem jej głos robi się coraz donośniejszy. Tym razem krzyczała chyba na naszego prawie dwuletniego Vittoria. Przyszedłem do kuchni i zobaczyłem, że mały wpadł z impetem w stół, na którym jego mama robiła nasz ulubiony domowy makaron. Nie dość, że Vito mocno się uderzył i wył teraz wniebogłosy, to jeszcze rozsypał mąkę po całej kuchni.

Nie było mnie w domu kilka dni, wróciłem i od razu awantura...

Czasem miałem wrażenie, że mogłem pozostać kawalerem...

Nie, idioto, nie mogłeś! – odpowiedziałem sobie zaraz. *Co byś zrobił bez tej watahy, którą nazywasz rodziną? Bez swojego kwiatuszka, który tak słodko pachnie? Bez swoich brzdąców, z których jeden jest wspanialszy od drugiego i nie sposób byłoby wybrać najlepszego?*

Doskonale wiedziałem, że mój przeładowany świat byłby bez nich niekompletny. Może i miałem przerąbane w kwestiach zawodowych, bo widmo przejścia 'Ndrànghety na dobre wisiało już nade mną od pewnego czasu, ale moje życie prywatne było bez skazy.

Tylko czasem za głośne.

Ogarnąłem Vittoria, który wymagał umycia rąk oraz twarzy i uspokojenia, a Rosa posprzątała w kuchni. Starszaki były w swoich pokojach. Fabrizio odrabiał lekcje, a Patrizia bawiła się lalkami. To było późne popołudnie, dzień jak zwykle w listopadzie, kiedy nie mieliśmy już tyle roboty w polu. Moja żona dokończyła przygotowywanie kolacji, a ja zwołałem szarańczę do kuchni na jedzenie.

Potem była moja kolej, żeby się wykazać. Musiałem ich wykąpać... no, w przypadku Fabrizia po prostu dopilnować, żeby wyszedł z łazienki czysty i z umyтыми zębami. Patrizii trzeba było pomóc umyć włosy. Miała takie same jak Rosa – czarne, gęste i lśniące. A Vito lubił się długo bawić w wannie.

Kiedy w końcu położyliśmy troje małych terrorystów spać, Rosa była padnięta, ale ja od razu się ożywiłem.

– Chodź do łazienki, zrobię ci pachnącą kąpiel, zrelaksujesz się – zaproponowałem żonie, licząc na to, że się zgodzi, a ja rozwinę tę sytuację zgodnie z obrazami, które podpowiadała mi lubieżna wyobraźnia.

No, zgódź się, aniele...

Rosa skończyła w tym roku trzydzieści lat i zacząłem zauważać, że była właśnie w szczycie rozkwitu kobiecości. Jej uroda dojrzała. Nie była już tą osiemnastoletnią dziewczyną, którą poznałem przed ponad dekadą.

Dwanaście lat... Chryste! To ja już tyle czasu ją kocham?

To była moja idealna kobieta. Spełnienie marzeń każdego zdrowego trzydziestoparolatka. Kochająca żona, troskliwa matka, wspierająca partnerka, odważna i wyuzdana kochanka, niecofająca się przed niczym, przyjaciółka z charakterem. Moja Rosa.

– Skarbie, ty się relaksuj, a ja się zajmę resztą – wymruczałem, kiedy już leżała w wannie z pianą, a ja powoli gładziłem jej ramiona i schodziłem coraz niżej.

– To ma być relaks? – Zaśmiała się na ten mój ewidentny objaw nienasycenia.

– Pewnie. Dla ciebie – odparłem spokojnie, choć krew już się we mnie burzyła.

No, sami wyobraźcie sobie śniadą, czarnowłosą piękność w wannie, pełne piersi ledwo przykryte pianą...

Luigi, opanuj się, bo spuścisz się w spodnie, zanim zaczniecie zabawę – próbowałem przywołać się do porządku. Bezskutecznie.

Rosa wyciągnęła rękę z wody i sięgnęła nią do mojego rozporoka. Rozpięła go i wsunęła dłoń w moje spodnie, a potem w majtki, nieweczając cały mój plan. Kiedy zaczęła mnie stymulować, jęknąłem jak nastolatek na widok pierwszego „Playboya”. Kilka ruchów jej wprawną ręką i nie było co zbierać.

– Rosa, coś narobiła? Przecież ja chciałem to zupełnie inaczej... – wyjęczałem zawiedziony.

– Luigi, ty nie jęcz, tylko się rozbieraj i wskakuj do wanny. Przecież nie skończyliśmy na dziś, prawda? – odpowiedziała mi z szelmowskim uśmiechem.

Jak ja kocham tę kobietę! Raz-dwa pozbyłem się ubrań, które i tak nadawały się tylko do prania, i wszedłem do wanny, do mojej pięknej żony. Właściwie od razu rzuciłem się na nią z ustami, rękami i spragnionym jej dotyku ciałem. Usiadłem obok, po czym wciągnąłem ją na kolana i usadziłem przodem do siebie.

Zapiszczała jak zaskoczona małolata, ale zaraz roześmiała się zadowolona.

– Co robisz, mężu? – spytała, śmiejąc mi się w twarz.

– Jak to: co? Biorę, co moje, pani Mozza – odparłem, siląc się na powagę.

Przyciągnąłem ją do siebie, a ona zarzuciła mi ręce na szyję. Gdy mnie pocałowała, poczułem, że osiągnąłem gotowość bojową.

W sumie nic dziwnego, po kilku dniach poza domem każdy by tak miał.

– Och, ty już? – spytała zaskoczona, kiedy wyczuła mojego znowu twardego członka na swoim udzie.

– No, przecież oboje nie mogliśmy się doczekać.

– A skąd wiesz, co robiłam, jak cię nie było? – spytała z szelmowskim uśmiechem.

– No, pewnie wiele rzeczy, ale na pewno nie uprawiałaś seksu.

– Skąd wiesz? – prowokowała.

– Bo pod maską zołzy skrywasz dobre serce i byłoby ci żal tego nieszczęśnika, którego musiałbym rozszarpać na strzępy – odpowiedziałem, ciągle się do niej uśmiechając.

Rosa wiedziała jednak, że nie żartowałem. Nie byłem fanem przemocy, ale dla gościa, który ośmieliłby się tknąć moją żonę, zrobiłbym wyjątek bez mrugnięcia okiem. Nawet gdyby ona sama tego chciała. Przysięgi traktowałem poważnie. I wiedziałem, że ona też. Oboje byliśmy z Południa.

– Myślisz, że mam dobre serce? – spytała rozczulona.

Wiedziałem, że tak zareaguje. Po mojej Rosie groźby spływały jak letni deszcz, ale była bardzo emocjonalna.

– Jestem o tym przekonany, kochanie – zapewniłem ją, przyciągając do siebie jeszcze mocniej.

Pocałowałem ją, a ona oddała mi żarliwie pocałunek, jednocześnie ocierając się o mnie tak, żebym zapragnął mieć ją jeszcze bliżej.

Słodkie tortury.

Sama się na mnie nabiła, skracając nasze męki, i zaczęła miarowo się poruszać. Zupełnie przejęła inicjatywę. Pozostało mi położyć dłonie na jej krągłych pośladkach i mieć choć złudzenie kontroli. Moja żona miała coraz większy tyłek i jakoś wcale mi to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Przymknęła oczy, a ja napawałem się widokiem swojej amazonki.

W pewnym momencie drzwi łazienki się uchyliły i Rosa gwałtownie otworzyła oczy.

– *Porca miseria!* – krzyknęła, zasłaniając piersi.

W progu stał nasz ośmioletni syn Fabrizio, trochę zaspany i zdezorientowany.

– Fabri, co ty tu robisz? – spytałem.

– Chciało mi się siku, tato.

– To idź do drugiej łazienki – poleciłem.

– Dobrze. A czemu ty kąpiesz się z mamą? Mówiliście, że ja i Patrizia jesteśmy już za duzi, żeby się razem kąpać. A wy to co? – dociekał nasz syn.

– Mąż i żona mogą się czasem razem kąpać – odpowiedziałem. – No już, zmykaj – dodałem ponaglająco.

– Idę, idę – mruknął Fabri, przecierając oczy ze zmęczenia. Ziewnął jeszcze raz i wyszedł.

– Drzwi zamknij! – krzyknąłem za nim.

– Nastrój się ulotnił. – Rosa westchnęła, jeszcze trochę roztrzęsiona tym, że starszy syn nas „nakrył”.

– Nic nie widział, a jutro pewnie nie będzie pamiętał – stwierdziłem. – Nie stresuj się.

– Myjmy się jednak i chodźmy do łóżka. Trzeba pamiętać, żeby nie kochać się więcej w łazience.

– Jak to nie? – oburzyłem się. – Po prostu będziemy się zamykać.

Rosa spojrzała na moją wyrażającą determinację twarz i roześmiała się serdecznie.

– Już drugi raz dzisiaj przeklełam przy dzieciach. Chyba się starzeję.

– Jak się zestarzejesz, to ja też – zauważyłem. – A na razie jestem młodym rolnikiem, więc chodź do tego łóżka, bo już nie mogę się doczekać, żeby porządnie cię przeorać, kochanie. – Lubieżny uśmiech na mojej twarzy znalazł odbicie w zaskoczony minie Rosy.

Porca miseria! Trafiony-zatopiony! Udało mi się zadziwić własną żonę.

Dwa dni później, nadal połowa listopada 2020

– Tato, tato, nie wyjeżdżaj znowu! – Usłyszałem prośbę mojej córeczki, kiedy wsiadałem ze swoim pracownikiem do samochodu.

– Nie wyjeżdżam, kochanie. Jadę tylko do Bruzzese, żeby odwiedzić wujka Luciana, i niedługo wracam – obiecałem.

– A mogę z tobą? – spytała Patrizia, patrząc na mnie oczami kota ze *Shreka*.

Dziewczyno, jak dorosniesz, to faceci niczego ci nie odmówią – pomyślałem, patrząc w piękne czarne oczka córki, i wyciągnąłem do niej rękę.

Z drugiego auta wzięłem fotelik i skinąłem na Rosę, która wyszła przed dom, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Biorę ją do Bruzzese, niedługo wracamy – dałem znać.

Rosa przewróciła oczami i wróciła do domu.

– Ale masz być grzeczna, moja panno – zaznaczyłem, na co Patrizia przytaknęła z całą powagą.

Mała manipulantka.

Szef był zachwycony, że przyjechałem z córką. Zamiast zabrać się za robotę, porwał moją małą na ręce i zaczął ją laskotać. A potem zaniósł do pokoju, który przygotował dla swojej wnuczki. Była tam taka liczba

zabawek, jakiej moje dzieci w życiu nie widziały w jednym miejscu. Pewnie dlatego, że nie zamierzaliśmy ich z Rosą rozpuszczać, dostawały prezenty tylko na urodziny i święta.

– Baw się tutaj, *cara mia*, a wujek porozmawia sobie z tatą, okej?

– *Si, zio Luciano* – odpowiedziała Patrizia, po czym wbiegła w górę pluszaków, z których wybrała sobie wielką małąkę.

– Chodźmy, Luigi! – zawołał mnie szef.

Gabriele czekał w kuchni. Kazałem mu mieć oko na Patrizię, na co tylko prychnął z niezadowoleniem, ale nie ośmielił się zaprotestować. Kuzyn mojej żony nie był typem wujka, który lubił obcowanie z dziećmi. Jego światem były komputery, ale tym razem nie miał wyboru.

Don Luciano zaprowadził mnie do swojego gabinetu.

– Przed chwilą dzwonił do mnie przyjaciel z Rzymu – zaczął, a ja już wiedziałem, że szykuje się jakaś akcja.

– To TEN przyjaciel? – spytałem, podkreślając właściwe słowo.

– Ten właśnie – potwierdził.

– Rozumiem, że trzeba mu zapewnić obstawę?

– Tak, najlepiej dyskretną już od granicy Kalabrii, a widoczną z godzinę od Bruzzese.

– Zajmę się tym, szefie. Coś jeszcze?

– Nie wiem. Chyba nie.

– Nie obawia się pan, don Luciano, że pan Allegretti będzie chciał, żeby mu się jakoś odwdzińczyć za tę przygodę Paola w zeszłym roku? – zwerbalizowałem swoje obawy.

– Trochę się tym niepokoję, ale należy mu się przysługa, prawda?

– Prawda. Wypuścił mojego brata, choć nie musiał.

– A właśnie! Co u Paola?

– Mieszkają razem z Olivią od października. Z tego, co wiem, to ciągle się kłócą i godzą. O, jak ja i Rosa, kiedy była w ich wieku. – Zaśmiałem się.

– Wy byliście już małżeństwem.

– Czasy się zmieniły, szefie. Poza tym oni mieszkają w stolicy i studiują. Niech się nie spieszą.

– Może i masz rację, mój drogi Luigi, choć ja... wiele bym dał, żeby cofnąć czas i odważyć się być z matką Domenica. Pozwoliłem się zastraszyć ojcu i zawsze będę tego żałował. Przestrzegam wszystkich młodych, żeby nie popełnili tego błędu.

– Myślę, że jeśli chodzi o Olivię, Paolo nie boi się niczego. – Roześmiałem się, przypominając sobie, że gdy porwali go jej kuzyni, martwił się tylko o nią.

– Ale ty się o niego niepokoisz, prawda?

– Zawsze będę. To mój mały braciszek. Podobnie jak zawsze będę się troszczył o Domenica, bo on też jest dla mnie jak brat.

– Mam złe przeczucia – wyznał wtedy don Luciano. – Dawno się nie odzywał, nie wiem, co się u nich dzieje.

– Może pan przecież do niego pojechać na święta – zauważyłem.

– To jest myśl, mój drogi. To jest myśl! – wyraźnie ucieszył się don Luciano.

Czasem się zastanawiałem, jak dobry człowiek może kierować taką organizacją jak nasza Rodzina. Zawsze jednak dochodziłem do wniosku, że to lepiej, niż gdyby zarządzał nami ktoś taki jak jego ojciec. Stary don Domenico był szefem w czasach, kiedy liczyła się brutalna siła i posłuch wymuszany na wszelkie możliwe sposoby. Dzisiaj potrzeba było kogoś z głową... i autorytetem, którego nie trzeba wymuszać. Nie chciałem, żeby mój szef zrezygnował z przewodniczenia 'Ndranghecie. Pamiętałem, jak trudno było mi uzyskać posłuch u własnych ludzi, a co dopiero u obcych.

Skoro wszystko mieliśmy ustalone, pożegnałem się z szefem, zabrałem protestującą Patrizię z pokoju dziecinnego i kazałem Gabriele odpalić silnik naszego auta. Niedługo odjechaliśmy do domu.

– Szefie, nie wie pan, po co don Luciano ma pokój dziecięcy i tyle zabawek? – spytał nagle Gabriele, wyraźnie zainteresowany.

– Ma, bo lubi, jak przyjeżdżam do niego z dziećmi – odpowiedziałem skonsternowany.

Nie sądziłem, że ten temat mógłby zainteresować któregoś z naszych ludzi. Od śmierci Cappellettiego nowa tożsamość Domenica była

znana tylko trzem osobom: jego ojcu, mnie i Marcellowi, ale to był zaufany komendant, prawdziwy druh.

* * *

Don Giacomo Allegretti przyjechał do mojego szefa następnego dnia przed południem. Musiał wyjechać z Rzymu bardzo wcześnie i w myślach pochwaliłem go za taką roztropność. Nie było potrzeby rzucać się w oczy. W końcu niecodziennie szef jednej mafii odwiedzał prywatnie i w przyjaznych zamiarach szefa drugiej. Nasi ludzie odstawili go bezpiecznie do domu Buscetty.

Na miejscu rozlokowałem jego ludzi w naszym budynku dla pracowników i przydzieliłem im obserwatorów do wieczora (w naszej branży ostrożności nigdy za wiele), a potem wróciłem do siebie. Wiedziałem jednak, że od następnego dnia będę musiał sam się nimi zająć.

Boss Mafii Capitale spędził u szefa kilka dni. Obaj wydawali się zupełnie oderwani od rzeczywistości. Chwilami zachowywali się jak mali chłopcy.

Mam nadzieję, że ja nie zdziecinnieję na starość – pomyślałem, widząc, jak szefowie dwóch z czterech najgroźniejszych mafii we Włoszech skaczą przez kałuże jak dziesięciolatki.

Cieszyłem się, że sam postanowiłem się zająć ich ochroną i nie przydzieliłem im do cichej obserwacji jakichś niedoświadczonych chłystków, bo jeszcze by się to rozniosło. Zostałem niańką dwóch sześćdziesięcioletnich mafiozów.

Normalnie rola życia, Luigi – zakpiłem. *Domenico, powinieneś zobaczyć swojego ojca w tej chwili* – przyszło mi na myśl, kiedy don Luciano roześmiał się na całe gardło z powodu czegoś, co powiedział mu Allegretti.

Cały czas zastanawiałem się nad tym, po co przyjechał do naszego rzymskiego sojusznika.

Czego chce?

Miałem nadzieję, że nie Paola, bo nie zamierzałem oddać mojego brata żadnej mafii.

Kiedy Giacomo Allegretti wyjechał i zabrał ze sobą swoich ochroniarzy, którzy nic nie robili, tylko nas objadali (choć akurat Paoletta była szczęśliwa, że ma kto u niej jeść, bo w głębi duszy ciągle opłakiwała Domenica, który od dziecka chwalił jej kuchnię i wręcz pożerał wszystko, co wyszło z jej garnka), odetchnąłem z ulgą.

Arfuso, koniec listopada 2020

To był dzień jak co dzień. Pamiętam, że piątek. Domenico zadzwonił wieczorem z polskiego numeru, co wywołało u mnie falę paniki. Szybko się zorientowałem, że trzeba panikować. Ktoś w Polsce porwał jego żonę, która co prawda była policjantką, ale przecież należała do Rodziny, więc ochrona jej się należała.

– *Porca miseria!* – zakląłem z bezsilności, kiedy uświadomiłem sobie, że w Kalabrii mógłbym zrobić dla przyjaciela wszystko, ale w Polsce... musiał radzić sobie sam.

Luciano

Bruzzese, listopad 2020

Byłem w domu, ale moje serce znajdowało się gdzie indziej. W zimnym kraju na północy, gdzie mieszkały trzy najdroższe mi osoby, od kiedy nie było na świecie mojej Agnieszki: nasz syn, jego żona i moja ukochana wnuczka. Nasza wnuczka, też Agnieszka, która wyglądała jak moja ukochana, tylko kolor włosów miała po Domenicu. Agnieszka Kasztelan. Agnese Buscetta, *porca miseria!* Czemu musiałem się godzić, żeby mój syn i wnuczka nosili panięskie nazwisko jego matki? Czemu byłem taki słaby, że nie potrafiłem zawalczyć o swoje szczęście, kiedy miałem je na wyciągnięcie ręki? Czemu musiałem tak tęsknić?!

Czasem towarzystwa dotrzymywał mi Luigi, nawet przywoził dzieci, żeby zapewnić mi trochę rozrywki i towarzystwa, ale od jakiegoś czasu dochodziłem do wniosku, że nie ma domu bez rodziny. Chciałem rzucić to wszystko i wyjechać, żeby być z moimi najbliższymi.

Jeśli Polska jest bezpiecznym miejscem dla Domenica, to może być i moim domem – myślałem.

Luigi mi doradził, żebym pojechał chociaż na święta, ale ja coraz częściej nosiłem się z zamiarem, żeby przekazać mu ziemię, przywództwo nad Rodziną, z którą radził sobie przecież świetnie w czasie mojej choroby i rekonwalescencji, i przenieść się tam, gdzie już dawno mieszkało moje serce.

I wtedy zadzwonił do mnie Giacomo Allegretti z informacją, że chce przyjechać na kilka dni do Bruzzese. Zgodziłem się. To był mój najstarszy przyjaciel. Jedyny, który wiedział, kim jestem i któremu to nie przeszkadzało. Miałem co prawda podejrzenia, że będzie chciał jakiejs przysługi zwrotnej za to, co zrobił kiedyś dla młodego Mozzy, ale w tej branży przecież trzeba być na to gotowym.

Giacomo przyjechał jednak zupełnie prywatnie, a przynajmniej tak to wyglądało na początku. Rozmawialiśmy, wspominaliśmy dawne czasy, jak dwóch staruszków, a przecież obaj się zarzekaliśmy, że sześćdziesiątka to wiek średni i do starości nam jeszcze daleko. W końcu

zaczęliśmy się wygłupiać. Luigi musiał mieć niezły ubaw, bo widziałem, że dyskretnie nas obserwował, jak skakaliśmy przez kałuże, brudząc sobie przy tym robocze spodnie. Bo tak, pożyczyłem przyjacielowi moje, żeby nie musiał wyrzucać swojej garderoby po wizycie na wsi.

– Dawno nie byłem taki beztroski, Luciano – stwierdził Giacomo w pewnym momencie.

– Ja chyba nigdy nie byłem, od kiedy skończyłem trzynaście lat – uznałem.

Bo to był czas, kiedy straciłem mamę, która troszczyła się o wszystkich, i ojciec wziął się ostro za moje wychowanie.

– Chodziło mi o to, że zacząłem myśleć o emeryturze, ale nie wyobrażam sobie siebie w mojej rzymskiej rezydencji. Jak nie będę już pracował, zajmował się organizacją, to wiesz... zdziadzieję tam zupełnie. Jeszcze mnie oddadzą do jakiegoś domu starców – jęknął.

– Giaco, ty jesteś tam szefem. Kto cię odda?

– Mój następcą?

– A masz takiego? – zainteresowałem się.

– No właśnie nie... Mój *consigliere* się nie nadaje. To prawnik. Ja jestem na tranzycie z Południa na całą Europę. Potrzebuję biznesmena.

– A ja rolnika. – Westchnąłem.

– I jaki masz pomysł?

– Luigi Mozza się nada.

– U was tak, ale w Rzymie potrzeba kogoś innego. Myślałem o jego bracie. Co ty na to?

– Luigi nigdy się na to nie zgodzi. Młody ma być lekarzem i chcieliśmy go trzymać z dala od nielegalnych interesów. Naprawdę nie masz nikogo, kto by się nadawał, w swojej organizacji?

– Nikogo takiego jak twoi ludzie ani takiego, jaki był twój syn – wyznał.

– Mój syn... – Wahałem się, czy mu powiedzieć, bo przecież prędzej czy później i tak się dowie.

– Nie, przepraszam, że o nim wspomniałem, przyjacielu. Wiem, jaki to trudny temat.

- Nie przepraszaj. To ja muszę ci coś powiedzieć.
- Tak?
- Mój Domenico żyje, ale ukrywa się w innym kraju. Wiem o tym od jakiegoś czasu, a nawet się z nim widziałem – wyznałem i obserwo-
wałem, jak zmieniała się twarz mojego przyjaciela.
- Och! To wiele zmienia.
- Tak naprawdę niewiele – musiałem zaprzeczyć.
- Czemu chcesz przekazać Rodzinę adiutantowi, kiedy masz syna?
- Bo on nie chce tego ciągnąć. Ma żonę i dziecko, jest teraz rol-
nikiem jak ja.

Tu już Giacomo nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Domenico? Twój Domenico rolnikiem? Przecież on ma charak-
ter twojego ojca, a do tego jest inteligentny i wykształcony w Rzymie,
nikomu nie przepuści. Trząśł całą Kalabrią!

- Chyba się zmienił.
- Kobieta?
- Tak.
- No cóż, daleki jestem od układania komukolwiek życia, ale lu-
dzie aż tak się nie zmieniają.
- Zobacz.

Pokazałem mu zdjęcie z wesela Domenica, jak tańczy z żoną i jak
razem trzymają córeczkę. W ich spojrzeniach było tyle miłości!

Giacomo przyglądał się zdjęciu przez chwilę, a potem pokiwał
głową.

- Dziękuję, że mi zaufałeś. Teraz już rozumiem, czemu tak ci pilnie
na emeryturę, stary cwaniaku. - Szturchnął mnie w bok. - Masz dla
kogo żyć.

Wiedziałem, że Giacomo zrozumie. Może i nie był zachwycony,
ale rozumiał.

Kiedy wyjeżdżał, to był inny facet. Jak zwykle wyluzował i bardziej
przypominał mojego starego przyjaciela niż ten typ, którym stawał się
w Rzymie. To jeden z powodów, dla których nigdy nie widywałem
się z nim w stolicy. Tam był po prostu nie do zniesienia. Szttywniak

w idealnym garniturze, wyglancowanych butach i rękawiczkach. Nie ten Giaco.

Koniec listopada 2020

Minął następny tydzień, może trochę więcej. To był piątek. Miałem właśnie dzwonić do Domenica, żeby zapowiedzieć mu się na święta, kiedy to mój syn zadzwonił do mnie i powiedział, że jego żona została porwana przez polskiego gangstera. Podał mi informacje, które miał, a ja obiecałem się dowiedzieć tyle, ile w mocy mojej i Luigiego.

Naturalny kanał przerzutowy na północ Europy w handlu narkotykami i żywym towarem stanowił Rzym i tereny zarządzane przez Allegrettiego.

To była już druga duża sprawa, z którą się do niego zwróciłem, i nie miałem nawet jak mu się odwdzińczyć. Chodziło jednak o moją rodzinę. Nie istniało nic ważniejszego.

Wybrałem numer przyjaciela mimo późnej pory.

– Giacomo, wybacz, że dzwonię tak późno, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki – wypaliłem, nie czekając, aż się odezwie.

– Hola, hola, Luciano, spokojnie. – Usłyszałem jego opanowany głos. – Co się stało?

– Muszę ci to powiedzieć przez telefon. Masz bezpieczną linię?

– Najbezpieczniejszą. Nie tak jak ty – prychnął.

– Nawet nie wiesz... – Próbowałem mu wytłumaczyć, że nasza organizacja też zatrudnia dobrych informatyków, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Skoro to takie pilne, po prostu mów. Potem będziemy się martwić.

– Okej. Potrzebuję poznać wszystkie dane na temat biznesmena z Polski, który kupuje za twoim pośrednictwem proszek do prania i żywe kwiatuszki – wyjaśniłem najogólniej, jak umiałem.

– To będzie cię kosztowało, stary druhu.

– Cena nie gra roli, chodzi o moją rodzinę.

- Masz na myśli Famiglię?
- Nie, chodzi o MOJĄ rodzinę.
- Z Polski, mówisz? No... jest taki jeden, kiedyś u nas praktykował. Podobno rozwinął niezły biznes u siebie w kraju. Ciągłe kupuje więcej.
- Porwał moją synową – wyjaśniłem mu.
- Aaaaa, to inna sprawa. Jak mogę wam pomóc?
- Dam ci numer mojego syna. Zadzwoń do niego, kiedy tylko ustalisz, jak można gościa namierzyć.
- Przesyłaj bezpiecznym komunikatorem Arcom. Masz?
- Tak, mój człowiek zainstalował mi to urządzenie, choć wolę WhatsAppa – wyjaśniłem, wpisując numer Domenica w odpowiednie pole w komunikatorze.
- To i tak jesteś do przodu. Ja musiałem wziąć kurs. – Allegretti zarechotał. – No jak? Wysłałeś?
- Tak.
- Świetnie! Zaraz zadzwonię do twojego syna. Trzymaj się, stary druhu.
- Dziękuję, przyjacielu. – Rozłączyłem się i wybrałem numer do Domenica.

Obiecał poczekać na kontakt ze strony Giacomina. Tylko tyle mogłem w tej sytuacji zrobić. We Włoszech poruszyłbym niebo i ziemię, w Polsce... moi najbliżsi byli na straconej pozycji.

Następnego dnia siedziałem jak na szpilkach i czekałem na jakikolwiek kontakt od kogoś z nich, ale się nie doczekałem. Zacząłem się naprawdę martwić.

W niedzielę Luigi przyjechał do mnie w towarzystwie naszego najlepszego informatyka, kuzyna Rosy, Gabriele di Fiori. Wiadomość, którą mi pokazali, spowodowała, że moje serce przestało na chwilę bić. Ten gangster miał mojego syna! I zamierzał wystawić go na aukcji w darknetcie. To jednak, zdaniem Gabriele, musiało oznaczać, że najpierw przywiezie go do Włoch.

Kiedy zadzwoniła do mnie Iga, już wiedziałem, co mam robić.